

Tadeusz Wyleżyński / cyt. z: *Bitwa pod Lipskiem przez Tadeusza Wyleżyńskiego adjutanta polowego przy generale dowódcy pułku lekkokonnego gwardyi polsko-francuskiej cz. I*, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa [1913].

Tadeusz Konstanty Jan Nepomucen Wyleżyński urodził się na Podolu, we wsi Teremcach, dnia 8 października 1794 r. z Józefa, majora wojsk, niegdy Rzeczypospolitej Polskiej, i Duklany z Morawskich. Wychowanie najstaranniejsze w domu rodzicielskim, a wyższe naukowe ukształcenie i stopień kandydata filozofii w uniwersytecie Wileńskim otrzymał. Dnia 20 czerwca 1812 r. wszedł w służbę wojskową Księstwa Warszawskiego w stopniu adjutanta podoficera pułku 8-go jazdy, którego dowódcą był powinowaty Wyleżyńskiego, książę Dominik Radziwiłł. Z tym pułkiem tegoż roku odbył Wyleżyński ową pamiętną w dziejach świata wyprawę i znajdował się w bitwach pod Ostrownem, Witebskiem, Smoleńskiem, Walutyną Górą, Możajskiem, Woronowem, Tarytyną. W tej ostatniej rannemu pałaszem w lewą rękę, prawą, trzykrotnie od kul działowych strzaskaną, odjęto na polu bitwy. W tymże roku jeszcze ozdobiony krzyżem złotego orderu wojskowego Polskiego, w odwrocie przetrwawszy najdotkliwsze cierpienia, ocalał wśród tylu rodzajów śmierci i klęsk, pod

którymi padły wtedy krocie jego współwalczących towarzyszy broni. Krótki pobyt w stolicy kraju rodzinnego dozwolił Wyleżyńskiemu o tyle ciężkie rany uleczyć, iż mianowany 1 stycznia 1813 r. podporucznikiem, mógł pośpieszyć do własnych szeregów, zbierających się w Krakowie pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego. Ztamąd udał się na pole wojennych zapasów w Niemczech. Wyleżyński już dotknięty kalectwem, ograniczył się odtąd służbą sztabową, do której go tyle sposobnym czyniły: wyższe ukształcenie, biegłość w kilku językach, a nadewszystko wrodzona zdolność i działalność niezmordowana tak nieustraszonego ducha. Dnia 19 maja tegoż roku postąpiwszy na porucznika, i odtąd pełniąc służbę adjutanta polowego przy generale, dowódcy pułku lekkokonnego gwardyi polsko-francuskiej, znajdował się w bitwach pod Bautzen, Reichenbach, Dreznem, Hochkirchen, Altenburgiem, Lipskiem, Wejmarem, Hanau. Następnie w roku 1814, na ziemi francuskiej miał udział w bojach pod Brienne, Larotière, Laon, Rheims, Arcis sur Aube, St. Didier, Château Thierry. W tym też roku, 15 marca, posunięty na stopień kapitana, ozdobiony został krzyżem kawalerskim orderu legii honorowej i orderem Holenderskim Zjednoczenia. Dnia 3 lutego 1815 r. przeznaczono go do pełnienia obowiązków adjutanta polowego przy generale jazdy, dowódcy dywizyi gwardyi królewskiej b. wojska Polskiego. Dnia 27 września 1817 r. zaliczony do pułku strzelców konnych gwardyi, 11 czerwca 1825 r. postąpił na podpułkownika z pozostawie-

niem go przy powyżej spomnianych obowiązkach sztabowych. W roku 1830 otrzymał znak honorowy za lat piętnaście nieskazitelnej służby oficerskiej. Nakoniec, dekretem Cesarskim z dnia 27 grudnia 1831 r. uzyskał dymisyę bez munduru, z pensją reteretową. Nie jest zadaniem, ani możliwością niniejszej wzmianki ocenić dostatecznie jego zasługi publiczne. Dopiero wypisane stopnie służbowe, jakie sprawiedliwie osiągał, dwadzieścia dwie bitew, z których w siedmiu pierwszych czynnie, a w następnych piętnastu już tylko osobą uczestniczył, rany, dotkliwym kalectwem zabliznione, te wreszcie znaki honoru, piersi jego zdobiące, razem wzięte, są zaprawdę niepoślednim zasług tych dowodem. Rylec dziejów może je z czasem lepiej oznaczyć. Nam tu cięży na sercu spomnieć Tadeusza Wyleżyńskiego, jakiegośmy już w życiu prywatnem zaznali. Łatwo było dojrzeć, iż jego umysł, od lat najmłodszych gorliwą służbą zajęty, z niej wyniósł i po niej zachował czynność nieustanną. Zawile sprawy, rozległe czynności łatwo pojmował, a kierując nimi jak stary żołnierz, zawsze w samą porę znalazł się na stanowisku. Wypracowania strategiczne, jakimi stronicie „Biblioteki Warszawskiej” ozdobił, wybitnie wykazują w nim talent niepospolity pisarza, który umie i niebiegłemu czytelnikowi, często nawet bez mapy, wszelkie ruchy stron walczących od razu uwidomić, ich rachuby takie a nie inne wykazać, a wszystko treściwie opowiedzieć. Dlatego nie wahamy się przypuścić, że jego sposób pisania stanie się u nas w przyszłości wzo-

rem traktowania tego rodzaju przedmiotów. Tak to nauka, uczynność drugim, a zawsze praca, zajmowały przedostatnie chwile Wyleżyńskiego. We wszystkich stosunkach strzegł on święcie własnego przekonania i ztąd wynikało, że jak imię jego zewsząd niepokalane wyszło, tak zdanie jego szukane w najdrażliwszych życia ludzkiego stosunkach, szanowano zawsze jakby nieodwołalny wyraz prawa. Ostatnie osiemnaście miesięcy przeżył Wyleżyński na łożu dotkliwych boleści. Nie dosięgnąwszy całych lat pięćdziesięciu, d. 6 sierpnia 1844 roku, w Warszawie żyć przestał. Umarł jak żył: bez trwogi i zarzutu. Cześć szlachetnemu!



**Pułkownik Tadeusz Wyleżyński, dowódca wojsk w
kampanii 1813r.**

- najstarszy znany wizerunek przedstawiciela rodu Wyleżyńskich

/wg „Typy i oryginały warszawskie z odleglejszej i mniej odległej przeszłości”, 1813r./

Marcin Wyleżyński s. Jana Nepomucena

/wg pamiętników Mieczysława Reya z Przeclawia (z 1913r.) opisującego ww. postać/

[s.12 m-pisu]

Raz przywiózł ojciec ze sobą [do Przyborowia] pana Marcina Wefy]leżyńskiego swego znajomego jeszcze z 1831r., który po wojnie o niepodległość parę lat przebywał w Przeclawiu a następnie wyemigrował do Francji skąd właśnie powrócił. Z nim przyjechał też Ludwik hr. Stecki także emigrant, dawniej właściciel sławnego Romanowa na Wołyniu. (...)

Marcin Wyleżyński był to człek olbrzymiego wzrostu choć chudy jak szczapa o twarzy pociągłej, czole wyniosłym, rzadkich jasno blond włosach i ogromnych kozackich węsach, też w dół wiszących. – Siłę ten człowiek miał olbrzymią czego dawał dowody n.p. rozdzierając w swych potężnych dłoniach dwie talie kart razem złożone, lub siadał na zwykłym stolku i wyciągał poziomo długie swe nogi, do stóp których przywiązywano dwa ręczniki i ojciec mój, który był bardzo silny bo łamał w rękach podkowy, chwycił za jeden [s. 13] ręcznik a nauczyciel nasz, Michałowski także tęgi mężczyzna /były kapitan marynarki austr./ chwycił za drugi ręcznik i tak ciągnęli z całej siły każdy w przeciwną stronę, a że ojciec był silniejszy i przyciągał Michałowskiego przeto stółek z Wyleżyńskim powoli w ojca stronę się obracał, ale stóp Wyleżyńskiego ani na jeden cal nie mogli odciągnąć jednej od drugiej, choć nie były założone na siebie, ale tylko równo trzymane siłą biodrowych mięśni. – Gdy sobie tę próbę przypomnę, to zdaje mi się ona niepodobną do prawdy, a jednak dzisiaj jeszcze oczyma duszy widzę tę scenę, jak ojciec mój z Michałowskim ciągnęli czerwieni z napięcia a Wyleżyński zawsze śmiertelnie błąd, siedzi swobodnie śmiejąc się takim basem jakiego odtąd już nigdy nie słyszałem. – Z przeróżnych opowieści Wyleżyńskiego tyjących się jego pobytu we Francji, jedną tylko zapamiętałem:

Służył on w jakiejś legii cudzoziemskiej złożonej przeważnie z Polaków. Rząd francuski nakazał części tej legii wyjechać – nie pomnę czy z Paryża, czy z innego miasta – nie określając dokąd się udać mają. Wyleżyński z towarzyszymi jechali olbrzymim dyliżansem i dopiero gdzieś niedaleko Marsylii czy Tulonu, dowiedzieli się nieszczeniwi legionistami, że mają być przewiezieni na jedną z wysp Oceanu Indyjskiego, na której Francya toczyła wojnę z krajowcami. Otóż Wyleżyński i koledzy jego zbuntowali się, a pan Marcin zrozpaczony chwycił za koło olbrzymiego dyliżansu i zwałił go w dół z wysokiego nasypu drogowego. – Co dalej się stało tego nie pamiętam.- Ojciec też opowiadał zgromadzonym gościom, zdumionym siłą Wyleżyńskiego, że gdy tenże dawniejszemi laty był w Przyborowiu czy też w Przeclawiu, przyprowadzono przed ganek konia, którego nikt ujeździć nie był w stanie, a Wyleżyński nie mogąc go dosiąść z powodu gwałtownych skoków powiedział: „No czekajże to ja będę od ciebie grzeczniejszy” i ugłaskawszy go na chwilkę że stanął spokojnie, szybkim ruchem wsadził pod konia głowę i plecy, długimi rękami objął go i podniósł oszołomionego konia mówiąc: „Nie chcesz ty mnie nosić, to ja ciebie ponoszę” i obniósł go naokoło gazonu. – Koń miał tak zgłupieć, że nie poruszał się, i gdy Wyleżyński postawił go na ziemi, dał mu sięść na siebie i chodził pod nim spokojnie. Lecz nie dosyć tego było silaczowi, bo zdjął z niego przez łeb mundsztuk i tak nieokielznane zwierzę wypuścił pełnym galopem ku dworowi, a gdy patrzący struchleli jeździec może na 6 kroków przed gankiem, tak ścisnął konia kolanami i osadził krzyżem, że tenże ukląkł na wszystkie cztery nogi.

Wyleżyński poklepał go mówiąc: „No kochane bydlatko, teraz będziesz już grzeczne” i podobno rzeczywiście od tego czasu koń ten poddał się woli człowieka. –

Ten Wyleżyński w wojnie r. 1831 służył w jeździe wołyńskiej i słyszałem gdy opowiadał niektóre epizody z tej wojny o niepodległość narzekając, że pałasz to zupełnie głupia broń, bo on mimo całej swej siły nie mógł rozplatać nim nieprzyjaciela. Raz zdążyło mu się, że z całej siły uderzył pałaszem dragona uciekającego i tak mówił: dragon po cięciu zwałił się z konia jak snop, ja się oglądam myśląc, że go rozciął na połowę, a on szelma zerwał się z ziemi i umyka, a krwi na nim nie widać. Od tego czasu już szabli z pochwy nie dobywałem, piką jak było pchnąć to wlażyła jak w masło. Gdy raz mi takowa pękła, nie porzuciłem drzewca ale waląc nim w prawo i lewo lepiej zmiatałem dragonów z koni niżeli głupią szabłą.

Jednego wieczora przy herbacie, gdy goście poszli na fajki do kancelaryi ojca i ja wsunąłem się tam z niemi będąc chciwym ciekawych opowiadań, a nasz silacz podobną prawil historię: Taz się zdarzyło, że na granicy Królestwa Polskiego nasi Wołyńcy dowiedzieli się, że w bliskości leży obozem niewielki oddział Moskali. – Odkomenderowano jeden nasz szwadron, aby w nocy ich podszedł, a że obóz ich leżał wśród krzaków i drzew między którymi trudno było by się kawalerii obracać, przeto szliśmy piechotą, zostawiwszy konie pod strażą w pobliżu. – Idziemy cicho z lancami w rękach, noc czarna choć oko wykol a tylko światełka rosyjskie kierują nasze kroki. Na skraju lasu stał lekki namiocik, w którym trzy osoby głośno gawędziły przy świetle lampy, a cienie ich odbijały się na płótnie namiotu. Oficer dowodzący nami, szedł ze mną i miał dać znak wystrzałem z rewolweru do ogólnego uderzenia. Gdy szliśmy cicho a Moskale nie wiedząc o przybyciu Wołyńców w okolice, czuli się zupełnie bezpiecznie i nawet wart nie postawili. Gdy byliśmy przy samym namiocie oficer szepnął do najbliższej idących „Baczność!” i zmierzwszy do jednego cienia w namiocie wypalił, a jednocześnie ja z całej siły dźgnąłem lancą przez namiot ku drugiemu cieniowi a gdy poczułem, że coś się tam na grot nabiło, podniosłem to na bardzo silnym drzewcu mej lancy i założyłem takową na plecy, tak jak to piechurzy noszą karabin. – Rozumie się, że z owocem nabitym na lancę włókl się cały namiocik, a że nasi w mgnienia oka niespodzianym napadem uporali się z Moskalami i ja na razie żadnego z nich nie widziałem w ciemności, przeto nie gonilem wraz z innymi po obozie, bo biegać piechotą nie lubię, lecz krzycząc „bij psubratów”. Szedłem sobie z wolna niosąc mój ciężar na lancy. Dopiero po skończonej aferze zrzuciłem do diabła to co było na grocie wraz z resztką namiotu. Potem wróciliśmy do naszych koni i wrócili do

oddziału, a z Moskali mało kto z życiem uciekł. - wystawcie sobie moi kochani, że roku zeszłego spotykałem się często w Paryżu w *caffè de la Règence* z kilkoma Moskalami, z których jeden niemłody już i mizernie wyglądający generał, budził we mnie wielką sympatię i nieraz godzinami rozmawialiśmy ze sobą przy czarnej kawie, szczególnie o wojnie 1831r. w której on też brał czynny udział. Aż raz mówi on, człowiek to przecież ma strasznie twarde życie bo wystaw sobie mój kochany panie, że raz idąc jako kapitan z moją kompanią z Królestwa na Wołyń, musiałem zatrzymać się na kilkanaście dni w jednej wiosce, a że ta przedtem była spalona, przeto stać trzeba było pod gołem niebem i w namiotach. Mielismy się za bezpiecznych, gdyż powstańców w okolicy nie było, aż jednej nocy gdy piłem sobie herbatę z dwoma porucznikami, Bóg wie skąd dyabli przynieśli zatraconych Wołyńców i ci podkradali się nocą pod nasz obozisk, jak lis pod kurnik. Raptem pada strzał i w tejże chwili któryś z tych potępieńców pchnął dzidą przez namiot i nabił mnie z tyłu przez krzyże, a jak mi potem opowiadano nosił mnie na lancy jak kurę na rożnie i to wraz z namiotem. – No a widzisz pan, że przecież żyję, choć od czasu tej katastrofy do stalowego mego zdrowia przyjąć już nie mogę. - Gdy usłyszałem tę opowieść – prawil dalej Wyleżyński - stanęło mi w oczach całe to zdarzenie i trochę zmieszany, wstałem ukloniwszy się nisko i rzekłem: Wybacz jenerale, ale tym potępieńcem to ja byłem.

Moskal był dzielnym żołnierzem, przeto dość wdzięcznie przyjął moje wyzwanie, z początku rozszerzonymi oczyma spojrział na mnie lecz potem rycersko podał mi rękę, mówiąc, „Nie mogę mieć żalu do pana, boć to wojenne sprawy – ale powiedz mi poco mnie tak długo nosiłeś na pice?”

Z tym jeneralem żyłem nadal w bardzo dobrej przyjaźni przez cały czas jego pobytu w Paryżu.

Ojciec mój i wszyscy słuchacze mocno się dziwili temu przedziwnemu spotkaniu, jako i temu, że człowiek tak strasznie okaleczony mógł wrócić do zdrowia, a nawet dalej służyć w wojsku, mnie zaś całą noc śnił się Moskal na pice i inne t.p. okropne rzeczy. -

O tym Wyleżyńskim opowiadał mi następnie pan Feliks Sikorski dawny rządca mojego ojca, a też staruszek proboszcz ks. Mikiewicz, że gdy jazda wołyńska rozbitą została i powstanie w Królestwie upadło Wyleżyński przeszedł ruską granicę i idąc lasami przybył do jednej karczmy w okolicy Majdanu i tamże zalegał na dłuższy odpoczynek każąc sobie żydowi gotować jeść, pił i sypiał na ławie w szynkowej izbie. Jakiś szpieg doniósł któremuś z kordonowych oddziałów austr. Wojska, że w tej karczmie zamieszkał powstaniec, a że wtedy już łapano uchodzących z Kongresówki żołnierzy polskich, zatem wyprawiono oficera z 4 żołnierzami, aby aresztował w karczmie zbrojnego powstańca. – Oficer przybywszy na miejsce, zastał olbrzymiego człowieka ubranego w lososiowy kaftan i takież spodnie śpiącego na ławie. Zbudził go i kazał iść z sobą. Niegrzecznie budzony pan Marcin wstał w końcu, przeciągnął się i poszedł do szynkwasu nalał sobie wody a wypiwszy takową znów się położył na ławie. Oficer zgorzszony takim zuchwalstwem, nuże go klucł szpadą. Długo Wyleżyński nie chciał się ruszać, lecz w końcu wstał, poszedł do szynkwasy i uspokoiwszy pragnienie podążył do swej ławy. Wtedy oficera porwała pasya i krzyknął na żołnierzy, by przemocą brali zuchwalca. Dwóch pochwyliło go za ramiona i pociągnęło ku drzwiom. Wtedy olbrzym miał z taką siłą trzasnąć łbem o łeb napastników, że obaj jakby piorunem rażeni padli na ziemię, co widząc oficer i dwaj inni żołnierze, nie oglądając się za siebie uciekli z karczmy co prędzej a zwycięzca położył się i zasnął na swem twardem postaniu. W godzinę później opuścił karczmę i przedostał się przez lasy do Woystawia, skąd ojciec mój zabrał go do Przecławia. Wyleżyński pojechał z Przyborowia do Koropca, do Antoniego Mysłowskiego a w r. 1889 opowiadał mi o nim Leopold Starzeński, że przed kilkoma laty polował z nim jeszcze na Rusi. –

Adam i Marcin Wyleżyńscy

Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski): *Od kolebki przez życie*, wspomnienia.

Rozdział XV „Komitet centralny 1862”, ss. 368 – 371.

[s. 368]

- Adam Wyleżyński – i dodał – poznałem ciebie, jak łysy koń tysego konia na jarmarku poznaje. Cóż tu słyhać?

- Mam ochotę zapytać ciebie: co słyhać tam? – odrzekłem.

- Tam... niby to się szykujemy.

- jak my tu. [...]

W tonie przebijal się akcencik półdrwiący, niewyzywający jednak obraży. Oslaniała go w klasycznym tonie trzymana szarmanterja. Każdy ruch, każdy gest tego lat zgórz czterdzieści wykazującego człowieka znamionował bywalca, umiającego się stosować do salonowego i do hulaszczego życia, umiającego odegrywać z równą łatwością rolę markiza i rolę kozaka netiahy.

[...] Wyleżyński w rozmowach prym trzymał, okazując się w towarzyskim obcowaniu niewyczerpanym, raz sypiąc dowcipy jak z rękawa, znów przybierając ton sensata, [s. 369] nastrajając się do towarzystwa i nastrajając towarzystwo do siebie. Z nim ten wieczór i następny dzień cały upłynął nam rozkosznie. Na trzeci dzień do Botuszan i Jass pojechał, wrócił i do Galicji się udał.

Z pobytu jego tę odniosłem korzyść, że dokładniej nieco przejrzał w sytuacji. Wybrał się on do mnie z własnej ochoty, przez nikogo niewysłany, w ramy żadnej niewkluczony organizacji. Wziął był udział w manifestacji urządzonej w roku poprzednim w Horodle. Od tego czasu Moskale na oku go mieli; że zaś poprawy nie objawiał, ani skruchy nie okazywał, poczęli na niego sidła nastawiać i on, w porę ostrzeżony, wyniósł się do Galicji, gdzie krewnych i stosunki posiadał.

Rodzina Wyleżyńskich, na Wołyniu osiadła, wysoko egzotycznie skoligowana zaznaczyła się była w czasach ostatnich oryginalnościami, stanowiącymi przedmiot opowiadań potocznych. Jedna z siostr Adama była za baronem Löwenthałem, wysokie przy ambasadzie austriackiej w Paryżu zajmującym stanowisko; druga, Konstancja, stara panna, papistka zawzięta, dobra, słodka, miłosierna kobieta i gorąca Polka, wysługiwała sobie niebo ujmowaniem ludzi dla Stolicy Apostolskiej; starszy, brat jego, Marcin, człowiek jeden z najurodziwszych, jakich mi się widzieć zdarzyło, emigrant z r. 1831, zasłynął jako silacz; opowiadano o nim, że gdy raz w czasie powstania (był w oddziale Karola Różyckiego) zdarzyła się potrzeba powiesić zasidatela, a nie było komu, Marcin wziął go na stryczek, dogóry podniósł, w powietrzu w rękę potrzymał, razy parę wstrząsnął i trupem na ziemię cisnął. Adamowi, niższemu od brata wzrostem, na sile i postawie nie brakło: Nie brakło mu też na fantazji szlacheckiej, niewykluczającej zdrowego i jasnego na rzeczy poglądu. Szlacheckie poglądy tem grzeszą, że w stanie poglądowym pozostają, pod postacią obrazów, pojawiających się i znikających w obłokach. Po mistrzowsku niekiedy tworzy je wiatr i tenże sam wiatr rozpędza. W Galicji, gdy się nasłuchał o obecności na Mołdawji uczniów szkoły genueńskiej, o obecności mojej i o tem, że się tam "coś robi", powziął myśl sprawdzenia [s. 370] pogłosek na miejscu. W tym celu granicę w wiadomy przekradł sposób i u mnie się zjawił. W najpierwszej z nim rozmowie zagailem rzecz o organizacji.

-A no... organizujemy się -rzekl -poomacku. Ten szuka tego, tamten owego. Ciuciubabka.

-Do powstania chyba nie przyjdzie -zauważyłem.

-Przyjdzie. Wóz się potoczył z góry i im dalej się toczy, tem większego nabiera pędu. Na dole sam się zatrzyma, albo rozbity, albo nie -to zależy. Próbują go zatrzymać Moskale, ale nie wiedzą jak; próbują nasi "biali", ale sami na wozie siedzą.

- Nie wynurzają się ludzie, coby kierunek nadać mogli!

-Wynurzają się. Oglądamy się: na Mierosławskiego, na Wysockiego, no... i na ciebie. U nas twoje nazwisko z języków nam nie schodzi, a pod sekretem mówimy o Różyckim.

-Karolu! -zapytałem.

-Nie... o Edmundzie, Karola synu.

Edmunda, gdy był- chłopięciem, rząd rosyjski matce po r. 1831 za zbrodnie ojca skonfiskował i na urobienie z niego janczara wychował w szkole kadetów, z której on wyszedł na oficera, na Kaukazie stopnia pułkownika się dosłużył, na wieść o ruchach krajowych dymisję wziął i na Wołyniu, trudniąc się pomiarami gospodarskimi, na wypadki oczekiwał.

Wiadomość ta otuchę mnie natchnęła tem większą, że Wyleżyński dużo mi dobrego o zaletach umysłu, o pojmowaniu sprawy polskiej i o patriotyzmie Edmunda Różyckiego mówił.

"Ponieważ się na niego oglądają -pomyślałem -, w osobie przeto jego jest na Rusi ognisko, około którego organizacja skupić się musi".

-A lud... chłopci -zagabnęłem.

-Dozorują ich stanowi i kręcą się śród nich chłopomani, ale wiesz: "Czyja prauada, naj tomu Boh pomahaje". Swoją drogą znajduję się pomiędzy nimi ochotnicy do konia i spisy. Kozacza żyłka odezwie się w Rusinach z pewnością nie po moskiewsku. Byle się im powstańce przyzwoicie sprezentowali. W naszym ręku atut mocny w uwłaszczeniu. Trzeba raz pychę z serca zrzucić i gruntami się z chłopstwem podzielić

s. 371

- Gotowa szlachta to zrobić?

- No... Gotowa? Taże gotowa! Gdy komu gangrena od nóg do góry idzie, gotów jest dać chirurgowi do odcięcia nogi obie po same kulsze. [...]

- Pomów z odzieżą, gdy się z nią zetkniesz.

- Pomówię, o! Pomówię. Wyperswaduję jej, ażeby cierpliwie czekała, aż wybuch nastąpi, a wówczas wkroczenie jej z zagranicy ogromne sprawi wrażenie. Z zagranicy!.. posilki! Wkroczy pięćdziesięciu, fama się rozejdzie o pięćdziesięciu tysiącach. Pomówię z nimi; na rozum wyłożę; przecież to chłopacy rozgarnięci, zrozumieją.

-Rozumieją, ale nimi kręci.

-Nakręcić ich potrzeba. Spróbuję.

Pojechał i za powrotem sprawę mi zdał, że: „Jakoś to będzie”. Skonstatował śród młodzieży dolegający jej niedostatek, któremu zaradzić należy. Obiecał, że się tem zajmie w Galicji, nie mówiąc mi, o czem się później i nie od niego dowiedziałem, że udzielił jej ze swej kieszeni zasilek jakiś – nie wiem ile.

- Jakoś to będzie – powtórzył. – Luboć, zdaje się, my starzy, niemający za sobą spodnicy do osłaniania kolan i ust karminowych do przemawiania, ani słodkich uśmiechów i czarnych ocząt do akcentowania przemówień, nie mamy należnej nam z wieku i urzędu powagi...

1 Marcin, Adam i ich siostry, których było sześć, były to, zdaje się, dzieci Jana Nepomucena, współpracownika Czackiego na polu wychowania publicznego, wizytatora szkół wołyńskich (Nota T. T. Jeża).[przyp. s. 369]